

Dwaj przyjaciele z Bourbonne

Denis Diderot



calibre 0.9.27

DWAJ PRZYJACIELE Z BOURBONNE

Denis Diderot

Tłum. Tadeusz Żeleński-Boy

Było tu dwóch ludzi, których można by nazwać Orestem i Pyladem z Bourbonne. Jeden zwał się Oliwier, drugi Feliks; urodzili się tego samego dnia, w tym samym domu, z dwóch sióstr. Wykarmili się jednym mlekiem; jedna bowiem z matek zmarła w położu, druga zaś opiekowała się jej dzieckiem. Wychowali się razem; żyli zawsze na uboczu; kochali się tak, jak się istnieje, jak się żyje, nieświadomie; czuli to w każdej chwili, a nigdy może nie rozmawiali o tym. Oliwier ocalił raz życie Feliksowi, który będąc śmiałym pływakiem omal się nie utopił; ani jeden, ani drugi nie pamiętał tego zdarzenia. Sto razy Feliks wydobył Oliwiera z niebezpieczeństw, w jakie go wtrącał jego gwałtowny charakter; nigdy Oliwierowi nie przyszło na myśl dziękować mu za to; wracali razem do domu milcząc albo mówiąc o czym innym.

Skoro przyszło im stawać do wojska i Feliks wyciągnął zły los, Oliwier rzekł: „Drugi będzie dla mnie”. Odbyli czas służby, wrócili razem do domu; czy jeszcze drożsi sobie wzajem niż wprzód, za to nie mogę ręczyć: o ile bowiem, braciszku, zobopólne dobrodziejstwa umacniają przyjaźń świadomą, może nie mają wpływu na uczucia, które byłbym skłonny nazwać przyjaźnią zwierzęcą, instynktowną.

W wojsku, w czasie potyczki, kiedy nieprzyjacielska szabla miała rozplatać Oliwierowi głowę, Feliks wystawił się machinalnie na cios i wyniósł szramę na całe życie. Powiadają, że był dumny z tej rany; co do mnie, nie przypuszczam. Pod Hastembeck Oliwier wydobył Feliksa z wału trupów, gdzie go porzucono.

Skoro ich kto pytał, wspominali niekiedy o usługach, jakich który z nich doznał od drugiego, nigdy o tych, które mu oddał. Oliwier mówił o Feliksie, Feliks o Oliwierze; ale nie chwalili się wzajem. Po jakimś czasie pobytu w swoich stronach, zakochali się, a przypadek chciał, iż pokochali jedną i tę samą dziewczynę. Nie było mowy o współzawodnictwie; pierwszy, który przejrzał miłość przyjaciela, usunął się: był to Feliks. Oliwier poślubił ukochaną, Feliks zaś, zmierzony życiem sam nie wiedząc czemu, rzucił się w różne awanturnicze rzemiosła i skończył na przemytnictwie.

Wiadomo ci, braciszku, że istnieją we Francji cztery trybunały, gdzie sądzą przemytników: Caen, Reims, Valence i Tuluza. Najsurowszy jest trybunał w Reims; przewodniczy tam niejaki Coleau, najbardziej krwiożercza dusza, jaką natura stworzyła. Feliksa ujęto z bronią w rękę i zawiedziono przed straszliwego Coleau, który skazał go na śmierć, jak pięciuset innych przed nim. Oliwier dowiedział się o losie przyjaciela. Jednej nocy, wstaje z łóżka, gdzie spoczywał przy żonie, i nic jej nie mówiąc udaje się do Reims. Zwraca się do sędziego, rzuca mu się do stóp i błaga o tę łaskę, by mógł ujrzeć i uściskać Feliksa. Coleau patrzy nań, milczy chwilę i daje znak, aby usiadł. Oliwier siada. Po upływie pół godziny, Coleau dobywa zegarek i mówi: — O ile chcesz ujrzeć i uściskać przyjaciela za życia, spiesz się, jest w drodze; jeśli mój zegarek idzie dobrze, przed upływem

dziesięciu minut będzie wisiał".

Oliwier, wściekły, zrywa się, wymierza w kark sędziego potężny raz kijem rozciągając go niemal bez życia, pędzi na miejsce kaźni, przybywa, krzyczy, rzuca się na kata, uderza na strażników, buntuje ludność oburzoną tymi egzekucjami. Kamienie zaczynają latać, Feliks ucieka; Oliwier też myśli o ucieczce; ale żandarm przebił mu bok bagnetem, czego w pierwszej chwili nie czuł. Dotarł do miasta, ale nie mógł iść dalej; litościwi woźnice wsadzili go na wóz i złożyli u wrót domu na chwilę przed skonem; miał tylko czas powiedzieć: „Żono, zbliż się, niech cię uściskam. Ja umieram, ale Feliks ocalony”.

Jednego wieczora, kiedyśmy się wybrali, wedle zwyczaju, na przechadzkę, ujrzeliśmy przed drzwiami chaty kobietę słusznego wzrostu i czworo drobnych dzieci u jej stóp. Postawa jej, pełna smutku i energii zarazem, ściągnęła naszą uwagę; ona zauważyła nas również. Po chwili milczenia, rzekła: „Oto czworo drobnych dzieci; jestem ich matką, a nie mają już ojca”. Ten dumny sposób wzywania współczucia trafił nam do serca. Ofiarowaliśmy jej pomoc, którą przyjęła z godnością: przy tej to sposobności dowiedzieliśmy się dziejów męża jej Oliwiera i przyjaciela jego, Feliksa. Wspomnieliśmy o niej wpływowym osobom i tuszę sobie, że nasze polecenie nie było daremne. Widzisz stąd, iż wielkość duszy i wysokie przymioty moralne zdarzają się w każdym stanie i w każdym kraju; iż niejednemu człowiekowi, który umiera nieznanym, brak jedynie szerszej areny, i że aby znaleźć dwóch przyjaciół, nie trzeba się udawać aż do Irokezów.

Życzyłeś sobie, braciszku, wiedzieć, co się stało z Feliksem; jest to ciekawość tak prosta, a pobudka jej tak chwalebna, iż wyrzucaliśmy sobie nieco, żeśmy nie pomyśleli o tym. Aby naprawić ten błąd, wspomnieliśmy zrazu księdza Papin, doktora teologii i proboszcza Najśw. Panny w Bourbonne; daliśmy wszelako pierwszeństwo wicedelegatowi Aubert, bardzo zacnemu i uczynnemu człowiekowi, który nam przesłał następującą opowieść. Możesz polegać na niej.

„Ów Feliks żyje jeszcze. Wymknąwszy się z rąk sprawiedliwości, rzucił się w okoliczne lasy, których ścieżki i przesmyki poznał w czasie gdy uprawiał przemytnictwo; kołując starał się zbliżyć pomału do domu Oliwiera, o którego losie nic nie wiedział.

W głębi lasu, w okolicy, gdzie pani przechadzała się niekiedy, mieszkał węglarz, którego chata służyła za schronienie przemytnikom oraz za składnicę towaru i broni. Tam to udał się Feliks, nie bez trudu uniknąwszy sideł żandarmów, którzy ścigali go trop w trop. Ten i ów kompan przyniósł wiadomość o jego uwięzieniu w Reims, tak iż para węglarzy uważała go za straconego, kiedy się nagle zjawił.

Opowiem rzecz, tak jak ją słyszałem z ust węglarki, zmarłej niedawno temu.

Pierwsze ujrzały go dzieci wałęsające się dokoła zagrody. Gdy przybysz zatrzymał się pieszcząc najmłodsze, którego był ojcem chrzestnym, inne wpadły do chaty wołając: Feliks! Feliks! Rodzice wyszli powtarzając ten sam krzyk radości, ale nieszczęśliwy tak był wyczerpany głodem i znużeniem, iż nie miał siły odpowiadać i upadł wpółzemdłony w ich ramiona.

Pocziwi ludzie wspomogli go, czym mieli, dali mu chleba, wina, nieco jarzyny; zjadł i usnął.

Skoro się zbudził, pierwszym jego słowem było: — Oliwier! Dzieci, nie wiecie nic o Oliwierze? — Nie, odparły. Opowiedział, co zaszło w Reims; noc i następny dzień spędził w chacie. Wzdychał, wymawiał imię Oliwiera; przypuszczał, iż znajduje się w więzieniu w Reims; chciał tam pędzić, chciał umrzeć wraz z nim; nie bez trudu para węglarzy odwiodła go od tego zamiaru.

Drugiego dnia, około północy, zarzucił strzelbę, wziął szablę pod pachę i rzekł z cicha: „Węglarzu! — Co, Feliksie? — Weź siekierę i chodźmy. — Dokąd? — Dobrze pytanie! Do Oliwiera. Idą, ale, gdy wychodzili z lasu, ogarnął ich oddział żandarmów.

Polegam na tym, co mi opowiadała węglarzowa; ale niesłychane jest, aby dwóch ludzi pieszo

zdołało stawić opór dwudziestu konnym, widocznie tamci byli rozproszeni i chcieli ująć ofiarę żywcem. Jak bądź się rzeczy miały, walka była gorąca; pięć koni wyszło z niej pokaleczonych, a siedmiu ludzi porąbanych szablą lub siekierą. Biedny węglarz leżał martwy, ugodzony kulą w skroń; Feliks wpadł z powrotem do lasu, że zaś obdarzony jest nieporównaną zwinnością, biegał z jednego miejsca na drugie, w biegu nabijał fuzję, strzelał, dawał sygnały gwizdawką. Te gwizdania, te strzały z fuzji oddawane raz po raz z rozmaitych miejsc obudziły w żandarmach obawę, iż mają do czynienia z całą zgrają przemytników; jakoż cofnęli się rozważnie.

Skoro Feliks przekonał się, że są daleko, wrócił na pole bitwy; wziął trupa węglarza na ramiona i puścił się z powrotem do chaty, gdzie węglarzowa i dzieci spały jeszcze. Zatrzymał się u drzwi, złożył trupa na ziemi i usiadł oparłszy się o drzewo, twarzą ku drzwiom chaty. Oto widok, jaki czekał węglarkę, gdy wyszła z szałasu!

„Budzi się, nie znajduje męża obok siebie, szuka oczyma Feliksa, nie ma Feliksa. Wstaje, wychodzi, spostrzega, wydaje krzyk, pada na wznak. Nadbiegają dzieci, widzą, krzyczą; rzucają się na ciało ojca, rzucają się na matkę. Węglarzowa, przywołana do zmysłów hałasem i krzykami dzieci, wydziera sobie włosy, drze paznokciami policzki. Feliks, nieruchomy u stóp drzewa, z zamkniętymi oczami, z głową przechyloną wstecz, mówi gasnącym głosem: „Zabijcie mnie!”. Nastaje chwila milczenia, po czym rozpacz i krzyki zaczynają się na nowo, Feliks zaś powtarza znowu: „Zabijcie mnie, dzieci! Przez litość, zabijcie mnie!”

Spędzili w ten sposób trzy dni i nocę na rozpacz; czwartego Feliks rzeki: „Kobieto, weź sakwy, włóż chleba i pójdz za mną”. Po długim kołowaniu przez góry i lasy, przybyli do domu Oliwiera; dom ten leży, jak pani wiadomo, na skraju miasteczka, w miejscu, gdzie gościniec rozszczepia się na dwie drogi, jedna do Franche-Comté, druga do Lotaryngii.

Tam to Feliks dowie się o śmierci Oliwiera i znajdzie się między wdowami po dwóch ludziach poległych z jego przyczyny. Wchodzi i pyta żywo żony Oliwiera: „Gdzie Oliwier?” Z milczenia jej, ze stroju, łez, zrozumiał że nie żyje. Zaćmiło mu się w oczach; upadł i rozciął sobie głowę o dzieżkę do zarabiania chleba. "Wdowy podniosły go; krew jego barwiła im ręce, kiedy zaś obcierały go fartuchami, on mówił: „I wy, ich żony, wy spieszycie mi z pomocą!” Mdlął znowu, wracał do przytomności i powiadał wzdychając: „Czemuż mnie nie poniechał? Po co chodził do Reims? Jak można było mu pozwolić na to?...” To znów, jak gdyby rozum mu się mącił, wpadał w szal, tarzał się po ziemi i darł na sobie odzież. W jednym z takich napadów dobył szabli i chciał się przebić; kobiety rzuciły się nań wołając o pomoc; nadbiegli sąsiedzi, związano go sznurami i puszczone mu krew kilka razy. Szal opadł wraz z wyczerpaniem sił; kilka dni leżał jak martwy, po czym zaczęła wracać świadomość. W pierwszej chwili powiódł oczyma dokoła jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu, i rzekł: „Gdzie jestem? Kobiety, kto wy jesteście?” Węglarzowa odparła: „Jestem węglarzowa”... Rzekł: „Ach! tak, węglarzowa... A pani?...” Żona Oliwiera zmiłkła. Wówczas, zaczął płakać; obrócił się do ściany i rzekł wśród łez: „Jestem u Oliwiera... to łóżko, to łóżko Oliwiera... a kobieta, którą tu widzę, to jego żona! Och!...”

Obie kobiety zajęły się nim tak troskliwie, obudziły w nim tyle współczucia, prosiły go tak usilnie, aby żył, przedkładały mu w tak wzruszający sposób, że jest ich jedyną podporą, iż dał się przekonać.

Przez cały czas, który pozostał w tym domu, nie położył się już. Wychodził w nocy, błądził po polach, tarzał się po ziemi, wzywał Oliwiera; jedna z kobiet szła za nim z daleka krok w krok i przyprowadzała go o świcie z powrotem.

Wiele osób wiedziało o jego bytności w chacie; wśród nich byli i nieżyczliwi. Wdowy uprzedziły go o niebezpieczeństwie, na jakie się naraża; było to po południu, Feliks siedział na

lawce, z szablą na kolanach, wsparty łokciami na stole, z głową utopioną w dłoniach. Zrazu nie odpowiedział nic. Żona Oliwiera miała siedemnasto- czy osiemnastoletniego syna, węglarzowa piętnastoletnią córkę. Naraz rzekł: „Węglarzowa, idźcie po córkę i sprowadźcie ją tutaj...” Feliks miał kawałek łąki, sprzedał ją. Węglarzowa wróciła z córką, syn Oliwiera zaślubił ją; Feliks wręczył im pieniądze uzyskane za łąkę, uściskał ich, poprosił z płaczem o przebaczenie, po czym udali się na gospodarstwo do chaty, gdzie mieszkają jeszcze zastępując ojca i matkę reszcie dzieci. Wdowy zamieszkały razem; tak, dzieci Oliwiera zyskały ojca i dwie matki.

Jest blisko półtora roku, jak węglarzowa umarła; żona Oliwiera oplakuje ją jeszcze co dzień.

Jednego dnia, kiedy śledziły Feliksa (jedna z nich zawsze miała go na oku), ujrzały, iż zalewa się łzami; wyciągał w milczeniu ręce ku drzwiom, po czym dalej narządził swój worek. Nie rzekły nic; rozumiały zresztą, jak bardzo to rozstanie jest konieczne. Spożyli wszyscy troje wieczerzę w milczeniu. Zapadła noc; kobiety nie spały, Feliks zbliżył się do drzwi na końcach palców. Zatrzymał się, spojrzął w stronę legowiska obu kobiet, otarł sobie oczy rękami i wyszedł.

Kobiety padły sobie w ramiona i spędziły resztę nocy płacząc. Nie wiadomo było, dokąd się schronił, ale nie było tygodnia aby im nie przesłał jakiej pomocy.

Las, w którym córka węglarzów żyje z synem Oliwiera, należy do niejakiego pana Leclerc de Rançonnières, bardzo bogatego człowieka, właściciela innej jeszcze wioski, zwanej Courcelles. Jednego dnia, kiedy p. de Rançonnières albo de Courcelles, jak pani woli, był na polowaniu, przybył do chatki Oliwierowego syna; wszedł, zaczął się bawić z dziećmi, które były bardzo ładne, i jął je wypytywać. Twarz młodej kobiety, również niebrzydkiej, wydała mu się sympatyczna; męska postawa męża, który miał wiele z ojca, zwróciła jego uwagę. Dowiedziawszy się o przejściach rodziców, przyrzekł postarać się o ulaskawienie Feliksa. Poczył w tej mierze kroki i uzyskał je.

Feliks wstąpił w służbę pana de Rançonnières, który dał mu miejsce leśnego.

Upłynęło blisko dwa lata, przez które żył w Rançonnières, posyłając wdowom znaczną część zasług, kiedy przywiązanie do pana oraz wrodzona duma wplątały go w pewną sprawę, błahą w założeniu, ale o bardzo przykrych następstwach.

P. de Rançonnières sąsiedował w Courcelles z panem de Fourmont, radcą trybunału w Chaumont. Oba domy rozdzielał jedynie kamienny słup; słup ten znajdował się tuż przy bramie pana de Rançonnières i utrudniał dojazd powozom. P. de Rançonnières kazał przesunąć słup o kilka stóp w stronę pana Fourmont; ten odepchnął słup o tyleż ku panu de Rançonnières; stąd nienawiść, zniewagi, proces między sąsiadami. Sprawa o słup graniczny dała początek paru innym, donioślejszym procesom. Tak stały rzeczy, kiedy jednego wieczora, p. de Rançonnières, wracając z polowania w towarzystwie leśniczego swego, Feliksa, spotkał na gościńcu sędziego Fourmont i brata jego, wojskowego. Ten rzekł do brata:

„Ej bracie, gdyby tak rozplatać gębę temu sk.....wi, jak ci się wydaje?”. P. de Rançonnières nie słyszał tego odezwania, ale nieszczęściem usłyszał je Feliks, który zwracając się dumnie do młodego junaka rzekł: „Ejże, panie oficerze, czy w istocie byłbyś dość dzielny, aby się ważyć na spełnienie tego, co wyrzekłeś?” To mówiąc kładzie strzelbę na ziemi i dobywa szabli, nie ruszał się bowiem nigdy bez swej szabli. Młody wojskowy dobywa szpady, skacze ku Feliksowi; pan de Rançonnières nadbiega, rzuca się między nich, chwyta leśniczego. Tymczasem oficer podnosi strzelbę leżącą na ziemi, mierzy do Feliksa, chybia; ten odpowiada ciosem szabli, wytrąca szpadę z rąk młodego człowieka, pozbawiając go wraz ze szpadą połowy ramienia; i oto proces kryminalny wikła kilka dawnych procesów cywilnych. Wtrącają Feliksa do więzienia, rozpoczyna się surowe śledztwo; w następstwie sędzia traci swą godność i niemal cześć, oficera wykluczają z korpusu oficerskiego, p. de Rançonnières umiera ze zmartwienia, Feliksowi zaś, ciągle tkwiącemu w więzieniu, przysięga

nienawiść cała rodzina Fourmontów. Czekaliby go smutny koniec, gdyby miłość nie przyszła mu z pomocą; córka dozorczy rozkochała się w nim i ułatwiła mu ucieczkę; jeśli to nie jest istotna prawda, takie było przynajmniej powszechne mniemanie. Udał się do Prus, gdzie służy dzisiaj w gwardii. Powiadają, iż cieszy się miłością towarzyszków, a nawet zwrócił na siebie oko króla. Przybrał sobie miano *Smutny*. Wdowa po Oliwierze powiada, iż zawsze ją wspomaga.

„Oto, pani, wszystko, co mogłem zebrać o dziejach Feliksa. Dołączam do swego opowiadania list księdza Papin, naszego proboszcza. Nie wiem, co zawiera, ale obawiam się, iż biedny ksiądz, który ma głowę nieco ciasną a serce dość oschłe, ocenia Oliwier i Feliksa pod kątem swych uprzedzeń.

Zaklinam panią, byś zechciała wspierać się na faktach, o których prawdzie możesz być przekonana, oraz na dobroci własnego serca; ono oświeci cię lepiej niż najtęższy kazuista Sorbony, którym nie jest ksiądz Papin”.

List X. Papin, doktora teologii i proboszcza Najśw. Panny w Bourbonne.

Nie wiem, pani, co p. delegat mógł jej opowiedzieć o Oliwierze i Feliksie, ani też jakiego rodzaju zainteresowanie mogą budzić w pani dwaj opryszki, których każdy krok na tej ziemi zboczony był krwią. Opatrzność ukarała już jednego, drugiemu zaś użyczyła paru chwil odwłoki, z których lękam się, iż nie skorzysta: ale niech się dzieje wola boża! Wiem, że są tu osoby (i nie dziwiłbym się, gdyby p. delegat był w ich liczbie), które mówią o tych dwóch ludziach jako o wzorze rzadkiej przyjaźni; ale czym jest w oczach Boga najwznioślejsza cnota, odarta z uczuć litości, szacunku należnego Kościołowi i jego sługom oraz poddania prawom monarchy? Oliwier umarł w progu swego domu, bez sakramentów; kiedy mnie wezwano do Feliksa w mieszkaniu wdów, nie mogłem zeń wydobyć nic prócz imienia Oliwier; żadnego znaku religii, żadnego objawu skruchy. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek człowiek ten zjawił się u stopni konfesjonau. Żona Oliwier to zuchwała istota, która uchybiła mi niejedną raz; dlatego że umie czytać i pisać, sądzi, iż zdoła sama wychować swoje dzieci; jakoż nie ujrzy ich oko ludzkie ani w parafialnej szkole, ani na moich naukach. Niech pani osądzi, wedle tego, czy tego rodzaju ludzie zasługują na jej łaskę! Ewangelia zaleca pilnie współczucie dla biednych; ale podwaja zasługę miłosierdzia, kto umie uczynić wybór między nędzarzami, a nikt lepiej nie zna prawdziwie potrzebujących niż wspólny pasterz bogatych i ubogich.

Gdyby pani raczyła mnie zaszczyścić zaufaniem, umieściłbym może skarby jej miłosierdzia w sposób użyteczniejszy dla biedaków a zaszczytniejszy dla niej.

Pozostają, z uszanowaniem, etc.

Pani de *** podziękowała delegatowi Aubert za trudy i przesłała wsparcie na ręce księdza Papin wraz z następującym bilecikim:

Bardzo jestem obowiązana wielebnemu ojcu za jego roztropne rady. Historia tych ludzi wzruszyła mnie, wyznaję; zgodzi się ksiądz, że przykład tak rzadkiej przyjaźni może łącznie uwieść zaciętą i tkliwą duszę; ale oświeciłeś mnie, ojczy; zrozumiałam, że lepiej użyczyć pomocy cnotom chrześcijańskim a nieszczęśliwym niż cnotom naturalnym i pogańskim. Proszę przyjąć tę skromną sumę, którą przesyłam na pańskie ręce, i rozdzielić ją w myśl miłosierdzia lepiej pojętego niż moje.

Mam zaszczyt, etc.

Można się domyślić, że wdowa po Oliwierze i Feliks nie oglądali ani szeląga z jałmużny pani de ***. Feliks umarł, a biedna kobieta byłaby zginęła z głodu wraz z dziećmi, gdyby się nie schroniła do lasu, do starszego syna, gdzie mimo podeszłego wieku pracuje i żyje jak może w otoczeniu dzieci i wnuków.

A przy tym, są trzy rodzaje opowieści... Jest ich o wiele więcej, powiecie... Wybaczcie; ale ja rozróżniam opowieść na sposób Homera, Wergilego, Tassa i nazywam ją cudowną. Natura ulega w niej wyolbrzymieniu; prawda jest hipotetyczna.

Jeżeli opowiadający dobrze zachował typ, który obrał; jeżeli wszystko, i w działaniu, i w odezwaniach, zgadza się z tym typem, wówczas uzyskał stopień doskonałości, jaki się da osiągnąć w tego rodzaju utworze: nie macie prawa żądać od niego więcej. Zapuszczając się w taki poemat, stawiacie nogę w nieznaną krainę, gdzie nic nie odbywa się tak jak tam, gdzie wy mieszkacie, ale wszystko dzieje się w wielkich wymiarach, jak dokoła was w małych. Istnieje dalej powiastka ucieszna, na sposób La Fontaine'a, Vergiera, Ariosta, Hamiltona, gdzie pisarz nie zakłada sobie ani naśladowania natury, ani prawdy, ani złudzenia; rzuca się w przetwory wyobraźni. Powiedzcie mi: bądź wesoły, pomysłowy, urozmaicony, oryginalny, nawet szalony, godzę się; ale porwij mnie szczegółami; niech wdzięk formy przesłania mi wciąż nieprawdopodobieństwo treści: jeśli pisarz zdołał tego dokazać, uczynił wszystko. Jest wreszcie opowieść historyczna, taka jak nowele Scarrona, Cervantesa, Marmontela...

— Do czarta z historyczną powieścią i historycznym powieściopisarzem! To płascy i nudni łgarze...

— Tak, o ile nie znają swego rzemiosła. Taki zamierza cię oszukać; rozgościł się w twoim domu, ma za cel najwierniejszą prawdę; chce, aby mu wierzono; chce zaciekawić, zająć, porwać, wzruszyć, przyprawić o dreszcz i wycisnąć łzy: których to rzeczy nie da się osiągnąć bez wymowy i poezji. Ale wymowa jest poniekąd kłamstwem, a nic przeciwniejszego złudzeniu prawdy niż poezja; i jedna, i druga wydyma, przesadza, potęguje, budzi nieufność: jakże się tedy weźmie taki pisarz do rzeczy, aby cię oszukać? Oto jak. Upstrzy swoje opowiadanie drobnymi okolicznościami tak związanymi z treścią, rysami tak prostymi, tak naturalnymi, a wszelako tak trudnymi do wymyślenia, iż będziesz musiał powiedzieć sobie w duchu: Na honor, to musi być prawda; tego nie da się wymyślić.

W ten sposób ocali przesadę wymowy i poezji; prawda natury pokryje ułudę sztuki; autor uczyni zadość dwóm na pozór sprzecznym warunkom: będzie równocześnie historykiem i poetą, prawdomównym i kłamcą.

Przykład zapożyczony z innej sztuki lepiej może uzmysłowi to, co chcę wyrazić. Malarz przedstawia na płótnie jakąś głowę. Wszystkie rysy są silne, wielkie i regularne; całość daje wrażenie rzadkiej doskonałości. Patrząc na tę twarz odczuwam szacunek, podziw, grozę. Szukam dla niej w naturze wzoru i nie znajduję; wszystko, w porównaniu, jest słabe, drobne i liche; jest to głowa idealna, czuję to, mówię to sobie. Ale niech artysta ukaże mi na czole tej głowy lekką bliznę, brodawkę na skroni, nieznaczną zadziorkę na dolnej wardze; w jednej chwili z idealnej głowy staje się ona portretem; parę śladów ospy w okolicy oka lub nosa, a ta twarz kobieca nie jest już twarzą Wenery; to portret którejś ze znajomych dam. Powiem tedy naszym historycznym bazarzom: Portrety wasze są piękne, zgoda; ale brakuje brodawki na skroni, zadziorki na wardze, śladów ospy w okolicy nosa, które by im dały piętno prawdy. Jak mawiał mój przyjaciel Caillot: „Nieco pyłu na trzewikach i już oto nie wychodzę z garderoby, ale wracam ze wsi”.

*Atque ita mentitur, sic veris falsa remiscet,
Primo ne medium, medio ne discrepet imum.*

Horat. de Art. poet., w. 151.

A teraz, po odrobinie poetyki, nieco morału; to jest tak na miejscu! Feliks był to nędzarz, który nie posiadał nic, Oliwier drugi nędzarz, który nie posiadał nic: powiedzcie toż samo o węglarzu, węglarzowej i innych osobistościach tej powiastki i wyciągnijcie wniosek, iż zupełna i trwała przyjaźń może istnieć jedynie między osobami, które nie mają nic. Człowiek wówczas stanowi całe mienie swego przyjaciela, jak tamten znów jego. Stąd prawda doświadczenia, że nieszczęście zacieśnia węzły; i temat do jeszcze jednego paragrafu w pierwszym wydaniu książki *O Rozumie*.

Przygotowano na podstawie bookini.pl